

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 11 września 1909 r.

№ 37.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

31

— To moja metoda! Z kobietami tylko zapalczywie i bezczelnie... to albo się zaraz, z miejsca, dostaje w pysk, co zresztą nie przesądza o niczem, albo, idzie jak po maśle...

— Można także dostać kijem od męża!—zauważył ironicznie zawiadowca.

— Ależ to byli kulturalni ludzie! — wykrzyknął z druzgoczącą wyniosłością.

— I kulturalni tłuką kochanków swoich żon! A pamięta pan, jak to zbił kijem zawiadowca z Rososzy tego Rudego Dziecioła?

— To było zwyczajne chamstwo! Bili się, jak parobcy, na peronie, przy wszystkich! Trudno, żebym takich zaliczał do kulturalnych ludzi. Dajmy im spokój. Wracam do opowiadania. Para rozmawiała po angielsku, kłócili się zawzięcie, jak najprawowitsi małżonkowie. Na tym jedynym punkcie arystokracja nie różni się niczem od gminu. Przystłoniłem się gazetą i, zapuszczając do niej zórawia, manewrowałem w dalszym ciągu. Odpowiedziała wreszcie, ostrzegając oczami przed mężem...—opowiadał gorąco, porwany własną blagą.

— Ależ to chyba była kokota?

Józio uśmiechnął się pobłaźli-

wie i rzekł z głębokim przekonaniem:

— Proszę pana, nawet najporządniejszej kobiecie może się chociaż raz w życiu zdarzyć jakaś romantyczna przygoda. Chyba, że za brzydka i za głupia! Otóż, zachęcony jej uśmiechem, próbuję znowu telegrafu, gdy naraz dryblas się zrywa i zaczyna czegoś szukać po przedziale. Pokazało się, że zapomnieli jakiejs walizy na granicy. Na pierwszej stacji chce telegrafować, ale, naturalnie, nikt go nie rozumie ani słowa. Wtedy ja występuję w roli opatrznosci, załatwiam wszystko i już dalej jedziemy w dobrej komitywie. O zmierzchu byliśmy na takiej stopie przyjaźni, że prosił mnie w zaufaniu o pokazanie nocnego życia Warszawy, a ona coraz milej na mnie patrzała. Stanęliśmy w jednym hotelu i reszta poszła gładko, aksamitnie, powiadam panu, aksamitnie...

— Wprost nie do uwierzenia, żeby mieć takie szczęście! — westchnął zazdrośnie zawiadowca.—Ale nie pojmuję, kiedy?.. jak? Przecież musieli oboje stanąć w jednym numerze?

— Przedewszystkiem mała informacja. Tacy ludzie zajmują zwykle cały apartament, gdyż jeżdżą ze służbą! A reszta... mój Boże, od czegoż spryt, przemysłność

i wprawa!—zaśmiał się z drażniącą pewnością siebie. — Obwiozłem go po różnych miejscach i pokazałem, co tylko jest w Warszawie godnego widzenia między północą a wschodem słońca. Naturalnie wozilem go po miejscach, otwierających się tylko dla wtajemniczonych, tam, gdzie się tylko gra, i tam, gdzie się tylko wybiera, i tam gdzie, się tylko patrzy...

— Naprawdę pan zna takie domy w Warszawie?—spojrzał niedowierzająco.

— Mogę pana o tem przekonać, ale uprzedzam: to kosztuje gruby grosz!

— A niechże pana drzwi ścisną! Historia, jakby z książki!

— Życie, panie, to najciekawszy romans!—powiedział Józio sentencyjalnie.

— Szczęśliwy z pana chłop! Mój Boże, ja tylko raz próbowałem zrobić w pociągu taką karierę i zrobił się bigos, że omal nie wyleciałem z posady. Trafiłem na siostrę jednego z naszych dygnitarzy! A co potem miałem od żony, tego nawet najgorszemu wrogowi nie życzę. Muszę już lecieć... Ale... Przyjdź pan do nas na kolację... Przyjechała panna Kalińska.

— U państwa to już stała pańienka załoga! I często się zmienia.

— Bo moja żona pasyami lubi swatać!

— A pan także ma na tem porękawiczne, co?

— Bywaitak, bywa! Przyjdiesz pan? bo muszę panie uprzedzić...

— Dzisiaj nie mogę. Zaraz z wieczora jadę do Mikada na pożegnalną bibę...

Jakoż wcześniej zwolnił się ze służby i poleciał do domu, aby się przebrać. Ale p. Zofia czuwała...

Więc pojechał dopiero koło północy jakimś towarowym...

DCN.



Savitri.

ŻONA BUDDY.

Jaśminy kwitną...
Zapach subtelny, przenikliwy,
zmieszany z rosą, wsiąka w ciszę.
Na tafli stawu połyskliwej
kwiecie nelumbó purpurowe
majestatycznie się kołysz.

Gwiazdy ogromne, południowe,
pieszczotą drżąca, czołobitną,
muskają płatków ich cudowne.

Szmerze asoki liść powiewny,
akacja zwiesza słodkie grona.
Tam jakiś stary olbrzym drzewny
dźwiga na sobie rój motyli,
czy orchideę pasorzytną.

Tęsknoty ciche, niewymowne,
w pierś się wślizgują—skroń się chyli
pragnąca, senna, odurzona...

Ta szalona,
ta potępieńcza noc wiosenna,
w swym rzeźwym chłodzie tak pło-
[mienna!

W obramowaniu dwa filary
na tle powietrznym, lekkim, nocnym,
ukazywały w skrach klejnotów
postać samotnej Jazodhary.

Łśniły wśród włosów jej uplotów
perły cejlońskie—łzy, zrodzone
w długim cierpieniu bezowocnem.

A szaty ciężkie, złotolite,
tęczą kamieni drogich szyte,
napróżno w sztywne swe opony
zakuły piersi ból tajony.

Pluskała w świetle gwiazd fontanna...
I pierś tak wiecznie, wiecznie ranna,
piers tak nieludzko umęczona,
poczuła młode tętno wiosny.

I wyciągnęła w dal ramiona
z niepowszrzymanem, straszem kła-
[niem:

— O mój potężny deodarze,
nie mogłam cię miłowaniem
Zwalić zwycięsko pod me stopy,
ani cię okuć mým uściskiem.

Twoich dalekich snów miraż
wiodły cię w puszcze, przez roztopy,
ponad piaszczystem usypiskiem.

I ty, przeczysty, wybujały
na skrzących wirzach Himalaja,
siedleś przez grzązkie ludzkie bagno.

Moją rywalką—nędzna zgraja
tych, którzy cierpią, tych, co pragną.

Lecz przecz-że droga ich zbawienia
i oczyszczenia brudnych sumień
przez moje serce szła rozdartą,
przez moich łez gorących strumień?

Lecz przecz-że zdjąłeś z nich ciężary,
aby je włożyć tak bezwzględnie
na słabe barki Jazodhary?

Przcz-że szczęśliwość ostateczną,
balsam na żądze ich rozarte,
kupileś żądzy mej zarzewie
i bólu mego krwią serdeczną?

Męki mej ogrom nieobjęty
mękę twych tłumów równoważy,
Bez własnowolna jam objata,
bez osobistej złudzie świata
rzucona ręką twoją, święty!

Ja nienawidzę was, wybrańce,
których litosność jego darzy.

Stoimy—Ja i Wszehistnienie,
jako dwa wrogi, jak dwa krańce!

Powstanę groźna i mocarna,
jak przeciw światłu wstają cienie,
i będę niszczyć wasze ziarna,
wasze marzenne gmachy zburzę
i takim mrokiem je zaleję,
że nic ich więcej nie rozświetli.

Zgniotę was tak, jak wyście zgniotli
mojej młodości jasne róże!

Jaśminy kwitną...
Ta szalona,
ta potępieńcza noc wiosenna!
Tęsknota wstaje niezgłębiona,
wyciąga w dale swe ramiona
i klnie ofiarnością twardą, szczytną.

Ta noc szalona, noc płomienna.
Jaśminy kwitną...

Sala posępna, jak grobowiec...
Na macie siedzi Jazodhara
i słucha pilnie, co wędrowiec
długo w skupieniu przed nią gwarzy.

W zapadłych oczach jej się żarzy
ból-wyrzeczenie, ból-ofiara
i ta niesyta żądza chciwa,
która po wieści wieść zdobywa
i Jego słowo—błysz wesela—
z korną miłością w duszę wciela:

— Temu, kto słuchał Sakya-Muni,
wszelaka rozkosz się spoiłuni.

On wzgardził, w prawdę zapatrzony,
bogactw i władzy czczą uludą
i jest dziś, jako żar zgaszony,
jako błękitna, słodka cisza,
bo już przewalczył Marę-wroga.

Tę łaskę daje szata mnisza,
ośmiokolejna dobra ścieżka.

— A jakkolwiek jest świątynia,
w której on duchem czystym mieszka,
a jakkolwiek jest ta droga,
gdzie najdroższego spotkać można,
tam, pokutnicza i pobożna,
pójdę—i spotkam go—w pokłonie
obejmę stopy, chwycę dłonie,
pytając ciężkich łez strumieniem,
niemą, bezsłowną męką mową,
czemu był gorzkim mem cierpieniem
i mą tęsknotą bezechową?

Niech bezgrzesznemi powie usta,
czemu bez niego świat tak pusty?

Czemu, choć gąszczar żądry wytną,
jednak co roku razem z wiosną

z wionią szaloną i miłosną
jaśminy kwitną?—
* * *

Jaśminy kwitną...
Dzień wiosenny,
dzień rozkochany, dzień promienny,
rozesnuł ciszę cisz błękitną.
Niebo, jak złota łśni kopuła,
pod nią wieczności dech się tuła.
A w dali śnieżne Himalaje
w zasłonie mgieł ametystowej,
jak tytaniczne stoją progi,
wiodące—hen, w zaświata kraje,
gdzie skon tęsknoty bezechowej
i dokąd wchodzą tylko—bogi.

Drogą szeroką i cienistą
dziś wkraczał w gród Kapiłavattu
ten, co zbawienie przyniósł światu.

Czeredą cichą, uroczystą,
szli z nim mnisi. Ogień szatu,
żądź ognia dawno zgąsł w ich duchu.

Pod stopy padał im w podmuchu
wiosny różowy kwiat migdału
i akacyowe słodkie kiście.

Były radosne mnichów szaty
złote, jak złoty odbłask słońca.

Na twarzach zanikł ból utraty
i była szczęśna wiedza Końca.

I szedł ten pochod prawdy żywej;
naprzeciw w smutnym majestacie
wyszła królowa w prostej szacie.

Jeszcze nie schłonał żar ofiary
straszego buntu Jazodhary.

W Buddę wpatrzona, drżała, bladła,
a w sercu chorem i zatrutem
ból wzbierał gorzkim, złym wyrzutem.

A mnichów ciche, jasne twarze
łśniły, jak gwiazdy, jak ołtarze,
i ukojenia słodka siła
z dusz wywołanych na nią biła,
brała w zakłętę swe kolisko.

I zrozumiała i odgadła,
że była dal tak blisko, blisko.

Rzekła pół śniąco, pół na jawie:
— Twojemu Dziełu błogosławie!
Otoś nakarmił Słowem rzesze.

Przyjmuję Dzieło twe prorocze,
z twem Dziełem sercem się jednoczę.

Dotąd cierpiąca, pokutnicza,
nie odnalazłam twego znicza.

Teraz, jak korzeń w ziemię, wrosną
w sprawę zbawienia. Przeklnę wio-
[snę!—

Wtedy, jak struga świeżej wody,
padło na ranę zaognioną
słowo pociechy i ochłody:
— Znam każdą boleść twą tajoną,
znam wszystkie bunty i rozpacz.

Byłem przy tobie w długie noce,
w twe noce łzawe i bezsenne,
dnie oczekiwań, dnie sieroce.

I chociaż kroki me tułaczę
nie poszły nigdy w twoją stronę,
lecz piłem zdala, jak nektary
z lotosu śnieżnej, czystej czary,
twój pierwszy krzyk, co wieczność
[pyta,
twe piękno, które z mąk wykwita,

zwątpienie, które pcha w bezbrzeża,
mrok, który daje poznać słońce!
Kłęsał rozłąki ciężkie brzemie,
lecz dał, jak wstęgi modrej końce,
ciągle łączyła nasze dłonie.
I oto łaska posiadania
z bólu utraty się wyłania.

Niezamącona i radosna
w zwyczajnych sercach naszych wiosna.
Rygle złamane już nie zgrzytną.
Dziwnym wieczności aromatem
łącząc nas z ciszą ciszą, z zaświatem,
jaśminy kwitną...

Juliusz Zeyer.

STRATONIKA.

Fragment z helleńskiej romantyki.

4

— Nie należy brać pod uwagę słów, wymówionych w gorączce—uspokajał króla Erazystros. To przecież niemożliwe, żeby Antyoch naprawdę myślał o tem, o czem przed chwilą bredził jego usta. Młody i szczęśliwy, przecz miałby nienawidzić słońca i tęsknić za mrokiem grobu? Słowa, które cię tak wzruszyły, przyjacielu, były jeno próżnym dźwiękiem i niczem więcej. A teraz odejdz i mnie z chorym pozostaw.

Król smutny i milczący posłusznie się oddalił. Erazystros rozpoczął uważnie badanie ciała Antyocha: przykładając ucho do jego piersi, dotykał jego czoła i długo puls jego w palcach swych zatrzymywał.

Chory wszystko to znosił cierpliwie, a ułożony wreszcie przez lekarza z troskliwością na poduszkach, zasnął niebawem. Erazystros długo jeszcze siedział w zamyśleniu przy jego łóżku, śledząc bacznie wyraz twarzy młodzieńca, słuchając jego westchnień. Zaniepokoili go mocno ciche jęki śpiącego, któremi snadź starał się on ulżyć we śnie biednemu sercu swemu. Wreszcie powstał i z powrotem ku komnatom królewskim podążył.

Na pytający wzrok Seleuka taką lekarz wygłosił odpowiedź:

— Jest to rzeczą niezmiernie dziwną, przyjacielu, że, aczkolwiek syn twój ciężko jest chory, ciało jego jest zupełnie zdrowe.

— Cóż ty mi znowu za baśnię opowiadasz?—wielce zdziwił się król.

— Zbadałem wszystkie jego członki, cały organizm—ciągnął lekarz i prócz osłabienia nie znalazłem ani śladu jakiegokolwiek choroby. Ta więc, prawdopodobnie, ma siedlisko w duszy, o czem dowiedzieć się jest rzeczą bardzo ważną. Jeżeli nie uda nam się wyśledzić, co gnębi twe dziecko, to syn twój umrze, albowiem chce umrzeć—co do tego nie mam teraz żadnej wątpliwości. Słowa jego, nieostrożnie wypowiedziane, były szczere i naprowadziły mnie niezwłocznie na właściwą drogę.

— Zdziwiasz mnie, Erazystracie! Jesteś jednak pewny, że się nie mylisz?—zapytał król.—Jakoważ tajemnicę mógłby przede mną ukrywać mój syn? Jakoważ byłaby ona jego tęsknota, ono pragnienie, któremu bym ja uczynić zadość nie był w mocy! Dlaczegożby mi o nich nie powiedział—wiedząc, że miłość moja ku niemu bezgraniczna jest i bezdenna?

— To dowodzi jeno doniosłości onej tajemnicy, która go gnębi—odparł lekarz.—Wszystka moc i sława, wszystka siła woli i miłość wszystkich śmiertelnych, choćby najwyżej postawionych wobec ludzi, okazuje się często słabą i bez wartości, nic nie znaczącą prawie, kiedy chodzi o dobro i szczęście jednostki. Prawdziwa siła i pomoc spoczywa jeno w rękach bogów: oni jedynie mogą być naszym ratunkiem, albowiem dzierżą w dłoni klucz tętna naszych dusz, a tylko w duszach naszych przebywa nasze szczęście.

— Przekonałeś mnie w zupełności, i promyk nadziei dałeś mi zarazem. Rzekłeś bowiem: „Ciało jego jest zdrowe!” Wzywając cię, przyjacielu, powierzyłem tem samem los onego ciała w twoje ręce; teraz to samo czynię z duszą jego. Uzdrów ją, uzdrów — a wrócone mi będzie dziecko moje!

— I ja chwytam się tego wątpliwego promyka nadziei — rzekł uśmiechając się lekarz. — Nadto słodkimi darami bogów są młodość i słońce, ażeby je Antyochos z uporem chciał od siebie odrzucić na zawsze. Nie, zaiste, nie może stać się w nim prawdą to poządanie śmierci! — zawołał Erazystros, i obadwaj mężowie, uściśnawszy sobie dłonie, rozeszli się, uspokojeni na chwilę nieokreśloną jakowąś nadzieją.

Minęło dni kilka. Lekarz ani na chwilę nie przestawał dążyć do zamierzonego celu. Wszelkich sposobów używał, aby dociec dna tajemnicy chorego Antyocha. Ale pomimo całej bystrości swojej obserwacji, pomimo całego kunsztu wydobywania z chore-

go przez na pozór nic nie znaczące pytania ważnych dla siebie odpowiedzi—nie osiągnął dotąd najmniejszego nawet rezultatu. Zarówno zachowanie Antyocha żadnej nie uległo zmianie; spał mało, mówił niewiele i uparcie wzdrażał się od przyjmowania pokarmu i napoju. Tylko wymowie i prósbom królowej Stratoniki szczęście się niekiedy — i chory spożył czasem podany jej ręką jaki owoc dojrzały, albo wypił kilka kropeł z wodą zmieszanego wina. Wskutek nadmiernego osłabienia tętna jego przestawały prawie uderzać, a Erazystros tracił z wolna i ten nikły przeblisk nadziei, który pierwszego dnia myśl jego rozjaśnił i przyjaciela jego uspokoił nieco i pocieszył.

W tym czasie zdarzyło się, że Erazystros siedział późnym wieczorem u łoża chorego. Sen kładł się na ogrody pałacowe i gaje, miesiąc srebrnym sierpem przecinał lazury, a samotne gwiazdy dyamentowemi oczyma poglądały z wysokości na pociemniałą ziemię. W uroczystej ciszy wieczoru niósł się oddalony szum rzeki—monotonny, jednostajny...

Nagle słodki, rozręskniony śpiew słowicy z wionią ogrodów przeniknął do cichej komnaty chorego. Antyochos poruszył się niespokojnie na łożu, w długim, głębokim oddechu pierś jego się podniosła, a z pod zamkniętych powiek sączyły się łzy i niby rosy nocne błyszcząły w poświacie gwiazd na bladych policzkach. Usta jego nie wyszeptały jednak żadnego słowa skargi, czy pragnienia.

Wtem w oddaleniu ozwał się kędyś w gaju śpiew i coraz bardziej ku pałacowi się przybliżał. Ktoś nieznaną szukał ulgi dla uciśnionego serca w pieśni safońskiej. Wieczorny powiew wychwytywał z głębin drzemiących drzew urywki pieśni i, drżącą łagodnym dźwiękiem ludzkiego głosu, niósł przez rozręskniony mrok w milczącą komnatę udręczonego miłością młodzieńca.

„Skoro cię ujrzą oczy me, płomień rozpala krew mych żył i duszę mą ogarnia lęk i w krtani mej zamiera głos!—Ikał niewidzialny śpiewak— a w ogrodzie drzewa szumiały i słowik miast liry podawał wtór dobrzmiewającą pieśń. Antyochos zajączał głośniejszej, przysiadł na łożu i zdawał się nasłuchiwać. Wiatr pochwycił znów z wilgotnej nocy urywek pieśni i przyniósł w komnatę.

„Zatracam słuch, oczy przesłania mgłą, zapadam w sen, w bezdeń szczęśliwych złud, w tęsknocie trwam bez tchu, pozbawion zmysłów wszech, ślaniam się, mrę!..“

Antyochos z szeroko rozwartemi oczyma zdawał się czegoś wypatrywać w rozszerebrzonym zmierzchu komnaty, rozświetlonej zaledwie słabym płomykiem brązowego kaganka. Usta chorego poruszały się bez słów, ale nie trudno było odgadnąć, że powtarzają słowa przebrzmiałej onej pieśni! Taka ogromna tkliwość, ból i tęsknota widniały na jego bladej twarzy, patrzącej w próżnię obłędnie oczyma, że lekarz wyzbył się nagle wszelkich wątpliwości i, pełen współczucia pochylwszy się nad chorym, wyszeptał:

—Antyochu, ty umierasz, ty giniesz przez tajemnicę miłości...

Młodzieniec zadrżał. Zwrócił na lekarza swe błędne źrenice, które zdawały się mówić: „Zgadłeś!—Biada mi!“ Dygocące jego wargi poruszały się bezgłośnie—nagle ręce jego opadły wzdłuż ciała, głowa osunęła się na poduszki... Omdlał...

Tej nocy lekarz obawiał się, że Antyochos umrze. Nie czynił jednak żadnego alarmu. Wreszcie powiodło się jego pieczołowitym staraniom i wiedzy. Słaby oddech poruszał znów pierś biednego młodzieńca.

Następnego dnia chory wcale nie dawał poznać po sobie, że zaszło coś niezwykłego, i lekarz był przekonany, że albo nic nie pamięta, albo, że wszystko to wydało mu się tylko snem, podobnym do innych, które go nawiedzały dosyć często. Rano odwiedził syna król Seleukos i zasypywał go pytaniami. Antyochos nie odpowiadał—wreszcie zauważono, że w nowo popadł omdlenie. Lekarz, zaniepokojony, stwierdził, że puls chorego prawie zupełnie się zatrzymał. Dał znak królowi, aby nie przerywał ciszy, sam zaś nie odejmuwał ręki od pulsu i ze skupioną uwagą śledził słabe jego uderzenia. Po chwili weszła do komnaty smukła, młoda i piękna niewolnica królowej, niosąc na srebrnej tacy

pieczywo z mąki sezamowej, miodu i mleka, i oznajmiła prośbę swojej pani, aby chory łakoci tych zechciał spróbować, gdyż je królowa sama przyrządziła swojemi liliowemi rękoma. Antyochos słabo skinął głową, wysłuchawszy jej słów, ale nawet uśmiech przyjazny, który zawsze imię Stratoniki wywoływało, tym razem na ustach jego się nie pojawił. Niewolnica głębokiem, płomiennem spojrzeniem ogarniała młodzieńca, który tak pięknym był w swoim smutku i bladeści. Nie usłyszawszy odpowiedzi, westchnęła i z pochyloną głową opuściła komnatę.

Niedługo po niej znowu rozsuneła się zasłona, i Stratonika sama stanęła u wejścia. Odziana w białą długą szatę z byssusu, zakończoną u szyi skrzęcych pereł sznurem, niosła w naręczu cały pęk świeżo zerwanych kwiatów, wonnych i rosą pokrytych.

—Antyochu, — rzekła, przystępując do łoża i zasypując je kwiatami— przed chwilą pogardziłeś jadłem, które ci przysłałam,—sama więc przychodzę, ale odmową zbyć się nie pozwolę. Oto puhar wina z Byblosu o zapachu pigw i fiołków. Jeżeli poeta wino z Naksosu porównywał do nektaru, to nie wiem, doprawdy, do czego to z Byblosu dałoby się porównać, które pierwsze niepomiernie dobrocią swą przewyższa.

I nie czekając na przyzwolenie, królowa z żartobliwym uśmiechem zbliżyła złoty puhar ku wargom chorego.

Erazystratos, zdjęty podziwem, coraz uważniej obserwował chorego. Zaledwie bowiem ukazała się Stratonika w komnacie, zaledwie parę słów do chorego przemówiła, począł puls Antyocha gorączkowo uderzać, a dotknięcie jej rąk zapaliło nagle blaski w zgasyłych młodzieńca źrenicach. Uśmiech rozchylił mu usta, a blada twarz słabym zbarwiła się rumieńcem.

Stratonika odstawiła czasę, z której chory posłusznie łyk mały zaczerpnął, i w krześle przy łożu usiadła.

—Zdaje mi się, że pamiętałam dobrze, które lubisz najlepiej?—rzekła królowa, wskazując rozrzucony pęk kwiatów.—Staralam się jak najusilniej upodobaniom twoim zadość uczynić. Ach, czy słyszałeś wczoraj w ogrodzie słowika? Jakże słodko zawodził!..

Słyszałem—westchnął chory i niewysłownie marząca tkliwość pojawiła się w jego źrenicach. Nagle jak gdyby wspomnienie jakiegoś zabłysło mu w pamięci, bo zwrócił na lekarza badawcze, pełne lęku spojrzenie.—„Byłże to sen, czy prawda, że Erazystra-

tos odgadł jego tajemnicę?“—a na samą myśl o tej możliwości chory zblił tak strasznie, że Stratonika się przerażała.

—Męczę cię zapewne, Antyochu, swoją rozmową? Przebac mi! Bądź zdrow jak najprędzej i silny! Posłałam wczoraj Apollinowi do Delf puhar onyksowy, jedyną drogą pamiętkę, jaką mi matka przy pożegnaniu wręczyła. Czy aby wysłucha bóg mej prośby?—szepnęła, tłumiąc łzy, które zalewały jej oczy. Ujęła męża swego za rękę, i oboje cicho opuścili komnatę.

Skoro zasłony za królową zapadły, puls chorego znów zaledwie uderzał, oczy jego zgasły, i zmęczone, przymknęły się powieki. Jeny dłonie nie przestawały ścisnąć kurczowo kwiatów, które przyniosła z sobą Stratonika.

—Ha, więc to jest twoją tajemnicą, nieszczęśliwy!—szepnął do siebie ze zgrozą zgnębiony lekarz.—Ty kochasz żonę swego ojca i dlatego szukasz śmierci. I toby miał taką moc, toby miał prawo zatrzymywać cię dłużej pomiędzy żywymi?!

Puścił rękę chorego i odstąpił od łoża, aby ukryć lżę współczucia i liłości.

Wnet jednak sam począł się zwozdzić i wmawiać w siebie, jakoby to wszystko było jeno dziełem przypadku i, że on, lekarz, się myli. Postanowił więc na nowo rozpocząć badanie. Przekonał się jednak wkrótce, niestety, że się nie mylił. Za każdym pojawieniem się Stratoniki zawsze to samo powtarzało się zjawisko — zawsze nagle, radosne bicie pulsu powodawała jej obecność i zawsze następował upadek sił, kiedy się jeno oddaliła. Nie było więc żadnej co do tego wątpliwości. Antyochos kochał ją i przez miłość tę umierał. A ona?..

Lekarz zastanowił się chwilę. Miałże prawo wglądać w jej serce? Leczył przecież Antyochośa, nie królowę. Jego winien był jedynie badać, nie zaś ją. To prawda! Czuł jednak żywą, bezinteresowną przyjaźń zarówno dla niej, jak dla jej małżonka i przeto chciał wiedzieć, na jakich podstawach spoczywało wspólne ich szczęście. Nie była to zatem prosta ciekawość, była to liłość i współczucie, które go zmuszały do zbadania myśli i uczuć królowej.

DCN.



— Poco?—spytała głosem cichym, który był pełen wahania.

— Jest on już obecnie niepotrzebny.

Patrzyła na nią z wyrazem mocnym, wzywającym, który był odpowiedzią na jej wyraz nieokreślonej obawy i niedowierzania.

— Skądże pan wiesz o tem?

On nie odpowiedział na zapytanie, lecz rzekł jedynie:

— Lepiej tu bez niego. Czy mogę go odprawić, proszę pani?

Pochyliła głowę. Androwski odjechał i ujrzała, jak mówił do Batucza i jak ów wstrząsnął głową, jak gdyby w zaprzeczeniu.

— Batucz!—zawołała ze swego miejsca.—Wracaj do Beni-Mory. Pojedziemy zaraz za tobą.

Poeta nadjechał z koniem.

— To niebezpiecznie, proszę pani.

Dźwięk jego głosu powiadomił naraz Domini o tem, czego dotychczas nie była pewną, mianowicie—że pragnęła pozostać sama z Androwskim.

— Jedź, Batucz—rzekła. Czyń, jak ci każą.

Batucz zawrócił koniem bez słowa i zniknął w ciemności pobliskich palm.

Gdy pozostali sami, Domini i Androwski milczeli przez parę minut ze swych koni. Twarze ich były zwrócone ku pustyni, która była teraz świetlistą w promieniach księżycy. To, iż sami tu byli w obszarze pośród nocy, tak zawisło nad nimi, iż czyniło mowę na razie niemożliwą, a nawet i myśl trudną. Wreszcie Androwski rzekł:

— Dla czego, proszę pani, patrzy pani na mnie... jak oto teraz... jak gdyby pani... jak gdyby pani wahała się pozostać sama ze mną?

Naraz zdecydowała się powiedzieć mu o tem, co ją tej nocy tłoczyło. Czowała, iż jeżeli to uczyni, zwolni się od czegoś, co było, jak zhora nocna na sercu.

— Czyż panu nigdy nie przyszło na myśl, że jesteście oby dwoje dla siebie?—rzekła,—że nic nie wiemy o sobie? Co pan wiesz o mnie, albo ja o panu?

Androwski poruszył się w siodle i przełożył uzdę z jednej ręki do drugiej, lecz nic nie odrzekł.

— Czyż może się panu wydawać dziwnem, jeżeli się waham, jeżeli nawet teraz...

— Tak! — przerwał gwałtownie.—To mi się wydaje dziwnem.

— Dlaczego?

— Pani ufa arabowi i nie ufa mnie—rzekł z natężoną goryczą.

— Tego nie mówię.

— Jednak naprzód zapragnęła pani wziąć Batucza.

— Tak jest.

— A więc..

— Batucz jest moim służącym.

— A ja? Ja jestem tylko człowiekiem, któremu się nie ufa; o którym inni mówią pani, by źle pani myślała.

— Mam sąd swój własny.

— Lecz gdy inni źle mówią o mnie?

— To nie ma na mnie wpływu... na długo.

Ostatnie słowa dodała po pauzie. Chciała być ściśle prawdziwą, a nocy tej nie była pewną, czy słowa księdza nie wywarły na niej wrażenia.

— Na długo! — powtórzył za nią.

A potem rzekł raptownie:

— Ksiądz nienawidzi mnie.

— Nie.

— I hrabia Anteoni.

— Zainteresowałeś pan bardzo hrabiego Anteonego.

— Zainteresowałem go!

Głos jego dźwięczał śród nocy podejrzliwością natężoną.

— Czyż nie chcesz pan, żeby się panem interesowano? Ten, kto ludzi zgola nie zajmuje, jest jak gdyby był skazany na wieczną samotność w bezsłonecznej pustyni.

— Chciałbym... wołałbym raczej, żeby...

Zatrzymał się, a potem rzekł z rodzajem postanowienia, które wraz zawstydzieniem dźwięczało:

— Czy mógłbym kiedy, proszę pani, wzbudzić w pani zainteresowanie?

— Tak jest — odrzekła spokojnie.

— Jednak pani woli pozostać pod opieką araba, niż moją. Ksiądz widocznie...

— Tego wieczoru nie jestem jakoś sobą — rzekła, przerywając mu.—Jest w tem może nieco racyi fizycznej. Wstałam dziś bardzo wcześniej i... czyż pan nigdy nie czuł się zgnębnym, nieufnym, wątpiącym w życie, w świat, w ludzi, w siebie, we wszystko... bez racyi widocznej? Czyż nigdy nie doświadczył pan tego, co znaczący mieć mary nocne na jawie?

— Ja! Ale pani jest istotą odrębną.

— Dzisiejszego wieczoru czułam... czuję, jak gdyby blisko mnie była tragedia i szła może na mnie—rzekła z prostotą,—i przeto jestem zgnębiona, jestem niemal przerażona.

Kiedy to rzekła, uczuła się szczęśliwszą, jak gdyby ciężar na duszy stał się naraz lżejszym. Ponieważ on nic nie mówił, więc spojrzała na niego. Promienie księżycy padały mu na twarz. Wyglądała ona w ich świetle, jak twarz ducha, stara i ściągnięta, tak zmieniona, iż ledwie ją mogła rozpoznać, i czuła przez chwilę, jak gdyby była z kimś obcym.

Spojrzała jeszcze raz szybko, by się przekonać, czy to, co widziała, było tylko grą dziwną księżycy, czy też Androwski istotnie zmienił się tak na chwilę pod wpływem jakiegoś straszego smutku, jednego z tych smutków raptownych, które, jak sęp, spadają na człowieka z głębin ukrytych jego istoty i duszę szarpia, aż póki całość nie umęczą,—i naraz dziwnie uczuła, jak gdyby dusza jej była ciałem i opływała krwią od ran śmiertelnych.

Milczenie ich wspólne było długie. W milczeniu tem usłyszała obecnie odbitą wrzawę głuchą, która dźwięczała, jak walka i trud, który stał się słyszalnym. Był to oddech Androwskiego. W łagodnym i czystym powietrzu pustyni dyszał on, jak człowiek wtrącony do podziemia. I znów spojrzała na niego zdziwiona. A wtedy on zwrócił swego konia w bok i odjechał kilka kroków. I tam zatrzymał konia. Był teraz jedynie czarnym kształtem w księżycu, nieruchomym i niesłyszalnym. Nie mogła oderwać oczu od tego kształtu. Czarność jego poddawała jej myśli czarność przepaści. Pamięć jej wciąż słyszała ten dźwięk głośniego wdychania czy łkania, słyszała go i drżała pod nim, jak drzy wrażliwa i czuła istota, widząc bezradny twór krzywdzony. Chwilę wahała się, a potem, kierowana pobudką nieprzewyciężoną ulżenia tej ostateczności cierpienia, którego nie mogła była zrozumieć, podjechała ku Androwskiemu. Kiedy stanęła przy nim, nie wiedziała, co miała rzecz czy zrobić. Uczuła się naraz bezsilną i natrętą i nawet ogromnie stwożoną. Lecz pierwaj, nim miała czas przemówić słowo lub zrobić ruch, on zwrócił się do niej i rzekł, podnosząc rękę

wraz z uzdą do góry, a potem opuszczając je ciężko na szyję konia:

— Chciałem pani powiedzieć, że jutro...

Zatrzymał się.

— Tak?—rzekła.

Odwrocił głowę od niej tak, by nie mogła widzieć jego twarzy.

— Jutro opuszczam Beni-Moreę.

— Jutro!—rzekła.

Nie czuła konia pod sobą, nie czuła uzdy w rękę. Nie widziała pustyni, ani jasnego księżyca. Chociaż patrzyła na Androwskiego, nie widziała i jego również. Na dźwięk jego głosu, zdało jej się, jak gdyby wszystkie rzeczy świata, które kiedykolwiek znała, zapadły się, jak okręt, którego kadłub rozdarły przez ostrą skałę sterczącą, i jakgdyby razem z nim i ona też zapadła i wszystko z nią razem: myśli, uczucia, nawet siły ciała, które były istotą jej życia; zmysł dotyku, zapachu, słuchu, wzroku, zdolność ruchu, zamierzeń i spoczynku. Zda się, nic nie zostało, prócz wiedzy, że ona jeszcze żyje i przemawia.

— Tak jest, jutro odjadę.

Twarz jego była wciąż odwrócona od niej i głos jego dźwięczał, jak gdyby mówił do kogoś z odległości, do kogoś, kto by mógł słyszeć, jak człowiek nie mógł słyszeć.

— Jutro!—powtórzyła.

Wiedziała, iż mówi znowu, lecz zdawało jej się, że tylko słyszy siebie mówiącą. Spojrzała na swoje ręce, trzymające uzdę.—wiedziała, że patrzy na nie i razem czuła, jak gdyby nie widziała ich, podczas gdy to czyniła. Zalana księżycem pustynia rozpościerała się dokoła i hen do horyzontu falami, które spowodowało owo zniknięcie okrętu, który pogrążył się raptownie ze swemi niezliczonymi żywotami. I o ruchu fal tych wiedziała, jak dusza zatopionego, już wyzwolona z ciała, wiedzieć może o ruchu powierzchni morza, pod którym ciało ukryte.

Lecz dusza widocznie była niczem bez ciała, lub najwyższej jedynie trwaniem tej siły, która wie, iż to, co było, przepadło. Wszystko, co było, przepadło.

Wreszcie myśl jej zaczęła znowu pracować i słowa te przeszły skrót nia z wysiłkiem. Pomyślała o tym uroku Afryki, tym ogromnym, wszechwładnym uroku, który wziął w posiadanie jego duszę i ciało. Co się z tem stało? Co się stało z baśnią palmowych ogrodów, wiosek brunatnych, gór czerwonych, białego grodu z jej świątłami, z jego białymi postaciami,

wibrującą muzyką? I pociąganie mistyczne pustyni — gdzie się podziało? Głosy jej, które tak uporczywie wołały, zmiłkły naraz wszystkie. Dłoń jej, która ją prowadziła, usunęła się. Patrzyła na nią w świetle miesiąca—nie była to już pustynia, piasek z duszą wewnątrz, błękitne rozłogi, pełne muzyki nawołującej, przestrzenie, zaludnione duchami ze stońca. Nie. Była to tylko pustka jałowa z zeschniętą ziemią martwą, bezpłodna, czcza, opuszczona, straszna szkieletami rzeczy, które w niej umarły.

Usłyszała psy szczekające u namiotów nomadów i brzęczenie owadów, ale wciąż jeszcze nie czuła konia pod sobą. Wreszcie stopniowo odzyskała władzę, i to odzyskanie sprawiło jej ból ostry, fizyczny, jakiego doświadcza ten, kto się był utopił i teraz z nieświadomości obudzony.

Androwski obrócił się ku niej. Ujrzała jego oczy utkwione w nią, i naraz zbudziła się w niej duma, a z dumą i całą jej istota.

Uczuła konia pod sobą, uzdę w rękę, strzemię pod stopą. Poruszyła się w siodle. Krew zatętniła w jej żyłach dziko i gorzko i jakby naraz ścięła. Uczuła, jak gdyby twarz jej stała się szkarłatną i jak gdyby całe jej ciało oblało się rumieńcem, i jak gdyby ten rumieniec mógł być przez jej towarzysza widziany. Przez chwilę od stóp do głowy okryła się płaszczem wstydu. Spojrzała atoli na Androwskiego oczyma spokojnymi i usta jej uśmiechnęły się.

— Pana to męczy?—rzekła.

— Nigdzie nie pozostaję długo—odrzekł, spuszczając oczy.

— Niewiele tu do czynienia. Czy powrócimy już teraz do miasta?

Zawróciła konia i raz jeszcze rzuciła wzrokiem na trzy drzewa palmowe, które stały daleko na drodze księżyca. Wyglądały, jak trzy złowieszcze przeznaczenia, wznoszące ręce w przekleństwie. Na chwilę zatrzęsała się w siodle. Potem uderzyła konia szpicrutą i obejrzała się. Androwski towarzyszył jej, jadąc u jej boku w milczeniu.

By dotrzeć do oazy, trzeba było przejechać koło namiotów nomadów, gdzie ognie już dogasały. Psy nocne czekały zawzięcie i szarpały się na sznurach, na których były uwiązane do kołków namiotów przy żywoptach, które strzegły drzwi zastan wojłokowych. Wszyscy arabowie byli już w namiotach, niechybnie snem już zmózeni. Jeden namiot był rozbity sa-

motnie, w pewnej odległości od reszty i pod pierwszemi palmami oazy. Ogień dogorywał jeszcze koło niego, rzucając migotliwy blask światła na coś ciemnego, co leżało na ziemi pomiędzy nim i namiotem. Pies duży przywiązany był do namiotu; nie szczekał on, lecz był, jak w strachu śmiertelnym.

Zanim jeszcze Domini i Androwski zbliżyli się do tego namiotu, wycie psa dosięgło ich i przejęło. Było w tem wyciu coś, co zdało się być po ludzku wyrażeniem, jak gdyby ktoś próbował wykrztuszać słowa, lecz nie mocen był od strachu.

Oboje instynktownie zatrzymali konie, nasłuchując, a potem jechali dalej.

Kiedy dojechali do namiotu, ujrzeni coś ciemnego, leżącego u ognia.

— Co to takiego?—wyszeptala Domini.

— Sądę, że to arab śpiący—odrzekł Androwski, patrząc na kształt nieruchomy.

— Ale ten pies...

Spojrzała na biały kłęb, miotający się rozpacznie u namiotu.

— Czy pan jest pewny?

— Tak przypuszczam. Proszę zobaczyć, — okryty łachmanami, a głowa odkryta.

— Nie wiem.

Patrzyła na kształt. Wycie psa wzmagało się, jak gdyby każdy nerw w nim pragnął oznamić coś przerażającego.

— Czy nie zsiądzie pan z konia i nie pójdzie zobaczyć, co to takiego? Potrzymam konia.

Zsunął się z siodła. Wzięła uzdę jego konia i patrzyła, jak poszedł i zbliżył się do przedmiotu, który leżał u ognia, jak pochylił się nad nim, dotknął, przewrócił go, a potem — jakby z wysiłkiem zamierzonym — uklęknął przy nim na ziemi i odkrył galgany, które go okrywały. Po chwili patrzenia na to, co one ukrywały, opuścił je, a raczej cofnął je od siebie ruchem gwałtownym—powstał z ziemi, podszedł do Domini i spojrział na nią bez słowa.

Ona pochyliła głowę.

— Powiem panu — rzekła. — Powiem panu, co to jest. To trup kobiety.

I zdało jej się, że ciemna postać, leżąca u ognia, to była ona sama.

— Tak jest — rzekł.—To kobieta, która została zaduszoną.

— Biedna!—rzekła Domini.— Biedna, biedna kobieta.

I zdało jej się, że mówiąc to, mówi o sobie samej.

Leżąc w łóżku w ciemności, nocy tej Domini słyszała godziny, wydzwaniane na zegarze kościelnym. Była odrętwiona, chociaż całym w ocknieniu. Czuła się, jak kobieta, której zapisano morfinę, i nie miała całkiem chęci, ni woli poruszenia się z miejsca. Leżała, licząc minuty, które utwarzały mijające godziny, liczyła je spokojnie, z nieubłaganą i prawie zimną samowiedzą. Proces ten stał się mechanicznym, tak że mogła jednocześnie odtwarzać w myśli wypadki, które nastąpiły po owym znalezieniu zamordowanej kobiety u namiotu: jak Androwski odchylił zasłonę namiotu i nie znalazł w nim nikogo, jak odjechał do bliższego obozowiska, jak zbudził śpiących arabów, pastuchów w łątanych sukmanach, baby nieosłonięte, z twarzami pomarszczonymi, z olbrzymimi warkoczami z przyprawianych włosów, obwieszane amuletami. Z namiotów dziwne te postaci wypłynęły na światło księżyca i na dogorywające ognie, gestykulując, rozprawiając głośno, z dzikością, w obcym narzeczu, którego nie rozumiała. Prowadzeni przez Androwskiego, przybyli ku zwłokom, podczas gdy wszystkie psy nocne czekały zawzięcie, a pies, który był świadkiem morderstwa, wył i i zawodził szczególnie. I tedy śród nocy wzbił się rozdzierający lament kobiet, lament, który zdał się przenikać gwiazdy i wstrząsać najdalej zakątki pustyni, i w zimnym białem księżycu rozświetleniu oczom jej przedstawił się dziki obraz rozpaczliwej nagiej ramiona, wyciągającej się ku niebu, wzywającej pomsty, ręce, jak szpony, rzucające ziemię na głowy, śród których zwiślały bezwładne ręce Fatmy, łańcuchy ze zbrukanego srebra i kawały koralu, które przypominały krew świętą, ciała miotające się, wijące, jak w konwulsjach lub w strasznym opętaniu.

Wspomniała, jak dziwną jej się wydawała ta cisza rozległa, ten spokój bezgraniczny, który zamykał to drobne koło wybuchu ludzkiego, jak niezmiennie spoglądał księżyc olbrzymi, jak nie współczujący jasno świecące gwiazdy, jak gorączkowym i drażniącym było migotanie ognisk, które wzniecały się i gasły, jak rzeczy, jeszcze żyjące, lecz już będące w konaniu.

Potem jazda powrotna do Beni-Mory z Androwskim tą drogą ciągnącą się, która zawsze wzbudzała w niej ducha do przygód szalonych. Jechali wolno, nie patrząc na siebie, nie zamieniając słowa.

Była oschła, zmęczona, jak stara kobieta, która przeszła przez długie życie cierpienia i wyszła tam, gdzie już żadne uczucie ostre nie istnieje, jak na pewnej wysokości od ziemi nie istnieje życie.

Uderzenia kopyt końskich na drodze dźwięczały twardo, tak, jak jej serce czuło, zimno—jak myśli jej tchnienie. Ciało jej, które zazwyczaj poddawało się najłżejszym ruchom konia, obecnie było sztywne na siodle.

Przypomniała sobie, jak śród tej drogi, gdy koń jej potknął się, zawrzała krótkim gniewem, który był prawie dzikim, i podniosła pręt, by ciąć. Lecz ręka ześliznęła się bez mocy, i znów zapadła w stan zimnego rojenia.

Gdy przybyli do hotelu, ciężko zeszała z konia i krokiem ciężkim weszła na schody werandy. Szedł za nią Androwski. Nie obróciła ku niemu głowy, nie powiedziała mu dobranoc i poszła do siebie. Nie zrobiła tego rozmyślnie przez szorstkość lub stan zubożenia, owszem, była niezdolną do wszelkiego zamiaru. Prostu zapomniała, po raz pierwszy, być może, w życiu, tego aktu zwykłej grzeczności, jak często zapominają osoby stare, kiedy się w myśli pograżą.

Androwski nic nie rzekł, nie starał się zwrócić uwagi na siebie. Słyszała, jak kroki jego zamarły na werandzie. Wtedy, jak automat, rozebrała się i poszła do łóżka, w którym obecnie, jak automat, liczyła chwile mijające.

Teraz uprzytomniła sobie tę własną swoją cichość i porównała ją z cichością zmarłej kobiety u namiotu. Leżała oto, strzegąc swego własnego ciała, jak katolik czuwa przy zwłokach, które jeszcze nie zostały złożone do grobu. Ato-li w tym pokoju śmierci nie było ani kwiatów, ani świec płonących, ani ust, szepczących modlitwy. Poszła spać bez modlitwy. Przypomniała to sobie teraz, lecz z obojętnością. Umarli nie modlą się. Modlą się za nich żyjący.

I znów godzina wybiła na wieży kościelnej. Przestała liczyć chwile, i czyn ten zawieszenia uczynił jeszcze bardziej doskonałym spokój umarłej kobiety.

Gdy słońce wzeszło, minęło naraz wrażenie śmierci, pozostawiając atoli po sobie letarg ciała i myśli, jakiego dotąd nie znała. Zuzanna, wszedłszy do jej pokoju, zawołała:

— Panienka chora?

— Nie. Skąd znowu miałabym być chora?

— Panienka wygląda tak dziwnie—rzekła służąca, badając ją swymi ciekawymi oczyma,—jak gdyby...

Zawahała się.

— Daj mi herbatę—rzekła Domini.

Podczas picia spytała:

— Czy nie wiesz, o której odchodzi pociąg z Beni-Mory—pasażerski?

— Owszem, proszę panienki. Jeden jest tylko na dobę. Odchodzi po dwunastej w południe. Mówił mi to pan Helmuth.

— A!.

— Jaką suknię panienka?.

— Żadnej sukni—białą płócienną, którą miałam wczoraj na sobie.

— Dobrze, proszę panienki.

— Nie, nie tę. Jakąkolwiek inną. Czy ma się na upał?

— Tak jest, proszę panienki. Ani jednej chmurki na niebie.

— To dziwne!—rzekła Domini głosem cichym, którego nie mogła słyszeć Zuzanna.

Gdy już się ubrała, rzekła:

— Idę do ogrodu hrabiego Anteoniego. Wezmę chyba... tak, wezmę książkę ze sobą.

Przeszła do saloniku i rzuciła okiem na ułożone tam książki, kilka nabożnych, podróżnych, sportowych, poematy Rosetti'ego i Newman'a, kilka powieści francuskich, powieści Jana Austen'a, które bardzo lubiła, jako przemawiające do jej charakteru. Po raz pierwszy w życiu wydały jej się one, jako spazzone, blade kroniczki spazmowanego, sztucznego życia bez krwi. Wróciła do swego pokoju, wzięła małą, białą książeczkę *O nasładowaniu*, która zawsze leżała u jej łóżka, i wyszła na werendę. Nie rzuciła okiem ani na prawo, ani na lewo, lecz zeszała ze schodów i poszła wzdłuż arkady.

Gdy stanęła przed furtką ogrodu, zawahała się, zanim zastukała. Widok willi, luków, białych ścian i rzędów drzew, które znała tak dobrze, spadł na nią tak trwożąco i tak niespodzianie, iż uczuła się steraną i chorą i jak gdyby musiała iść zaraz z powrotem do jakiegoś miejsca, którego nigdy nie widziała, a które miało obudzić wspomnienia w jej duszy.

Być może, poszłaby do oazy lub drogą, która obrzeżała łożysko rzeczne, gdyby Smain nie otworzył łagodnie furtki i nie wyszedł najej spotkanie, z wielką różą aksamitną w kształtnej, smągłej dłoni.

Podał ją bez słowa, tęsknie się uśmiechając i patrząc oczyma, w których słońce zdało się być ujętem i zamienionem na czarność błyszcząca.

Gdy ją wzięła i poruszyła w palcach, patrząc na płatki koloru wina, na których lśniły kro-

ple rosy ze światłami srebrnymi i delikatnymi, przypomniawszy sobie pierwszą wizytę w tym ogrodzie i urok tajemniczy, jaki wionął ku niej przez furtkę od złotych przeczrocy, od głębokich cieni drzew, uczucie romantycznego oczekiwania, jakie ją ogarnęło, gdy stąpała po piasku i ujrzała przed sobą kręte ścieżki, ginące w mroku śród strumieni, obrzeżonych ponsowemi kwiatami geranium.

Jak dawno to już zdało się być! — jak wspomnienie wczesnego dzieciństwa w sercu czyjemś, kto jest już stary.

Gdy już furtka była otwarta, postanowiła wejść do ogrodu. Szła, trzymając różę w rękę. Jedna z kroplek rosy stoczyła się od zewnątrz płotka i upadła na piasek. Pomyślała o niej, jak o łzie. Róża płakała, lecz oczy jej były suche. Dotknęła różę wargami.

Ogród był dla niej dzisiaj, jak ktoś obcy, lecz taki, z którym niedługo — dawno, bardzo dawno — była zażyła, komu ufała i kto ją był zdradził. Patrzyła na niego i wiedziała, iż kiedyś mniemała go pięknym i kochała go. Od jego ustroju szły do niej zastępy snów. Li-

ście drzew dotykały ją czułem rękoma. Wody jego strumieni szumiały jej wieści ukryte, które spocząwszy w łonie radości. Złote grotty słońca, które igrały skróś wonnych alei, igrały także w chłodnikach i cieniach jej serca, tworząc tam ciepło i światło, które zdało się z nieba przybywać. Wiedziała o tem, jak ktoś wie o pozornym uczuciu ludzkim, które pozdrawiało uczucie przyjaciela, który już nie był przyjacielem, i wzdrygnęła się na tę myśl pamiętnej zażyłości, która została oszukana.

DCN

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Polonica.

× W zbytkownem wydawnictwie „*Le livre d'or de l'exposition des 100 portraits de femmes des écoles anglaise et française du XVII siècle*” („Złota księga wystawy 100 portretów niewieści szkoły angielskiej i francuskiej w. XVIII), które ma uwiecznić ciekawą tę wystawę, urządzoną staraniem czasopisma „*L'art et les artistes*” w Paryżu, umieszczone też będzie i dzieło artysty polskiego, Aleksandra Kucharskiego. Przypominamy, że artysta ten wysłany został przez Stanisława Augusta do Paryża, gdzie kształcił się w Akademii sztuk pięknych i później dużem cięższym się powodzeniem. Pozostały po nim, między innymi, dwa portrety królowej Marii Antoniny, oraz portret małego deliina, syna Ludwika XVI-go.

× W Paryżu wyszła ciekawa książka p. M. Handelsmana p. t. „*Napoleon et la Pologne*” (Napoleon i Polska). Autor, dzięki sumiennym poszukiwaniom, nie tylko w archiwach francuskich, ale także polskich, rosyjskich i niemieckich, znalazł dokumenty, na mocy których zdołał, jeśli nie zmienić zupełnie pojęcie, jakie się wytworzyło o polityce polskiej Napoleona, to przynajmniej sprostować liczne szczegóły i dać bardziej uzupełniony pogląd ogólny. Zwłaszcza usiłował ujawnić ewolucję postawy cesarza względem Polaków, których entuzjazm i poświęcenie stałe usiłował podsycać, nie dając wzajem żadnych zobowiązań formalnych. Walcząc z prusakami i rosyjanami, organizuje jednocześnie kraj podbity. Ale na pierwsze żądanie, gotów jest zwrócić Polskę królowi pruskiemu, a po pogrzebieniu tego kraju, myśli tylko o przymierzu z cesarzem rosyjskim i ofiarowuje mu Polskę, chcąc, żeby uznał darowanie Śląska Hieronimowi Bonapartemu. Słowem, postępowanie Napoleona nie było szczere, a polacy wielkiego doznali zawodu, przekonawszy się, że nie dotrzywał uczynionych obietnic.

Z literatury rosyjskiej.

Almanach „Szybownik” (Głóg). Księga 10-a. Książki zbiorowe „Głóg” cieszą się ogromną popularnością wśród publiczności rosyjskiej, która ukazanie się każdej nowej książki oczekuje z niecierpliwością. Tu umieszczają swe utwory najlepsi pisarze rosyjscy: Andrejew, Sołogub, Zajcew, Kuprin i in., niezależnie od szkoły literackiej, do której należą. Probiemem utworów jest jedynie wartość ar-

tystyczna i dlatego często realista w książkach „Głóg” figuruje obok mistyka-symbolisty.

Na pierwszym miejscu w książce 10-iej umieszczono „*Maryę Magdalenę*” Maeterlinck'a, który utwór ten, podobnie jak „*Błękitnego ptaka*”, drukuje z początku w Rosji. Nawrócona grzesznica trzyma w swych rękach ocalenie Chrystusa od śmierci. Naczelnik rzymskiego legionu, Verus, ułatwi ucieczkę Chrystusowi, jeżeli Magdalena odda mu swe ciało. Lecz nie — grzeszną drogą ocali Zbawiciela, znaczy to zgubić dzieło Jego. I Syn Boży idzie na Golgotę.

Trzecią część „*Trupich czarów*” Sołoguba p. t. „*Królowa Ortruda*” jest jeszcze wyższym stopniem wyzwolenia się z pod panowania norm obowiązujących, prawdy realistycznej. Poecie wolno z materiału, danego przez rzeczywistość, tknąć dowolne wzory, malować wymarzone obrazy. „*Zwyczajność — zła i natrętna, i pelza, i usiłuje oczernić słodkie myślenia, i bryzgać ukradkiem nikczemnym błotem gwarynych ulic na twe piękne, łagodne, zamysłone oblicze, o, marzenie!*”

Podając się słodkiem falowaniem marzenia, kreśli Sołogub postać pięknej królowej Ortrudy, jej wysoką, radosną, a potem bolesną drogę. Podobnie, jak Corelli i Tetmajer w „*Królu Andrzeju*”, opisuje Sołogub państwo nieistniejące, a na istniejących stosunkach wzorowane. Siły burżuazyjne ścierają się ze wzrastającą mocą ludu Ortruda pragnie dobra dla ludu, kocha piękno i oczekuje jasnych objawień Lucifera, któryby ją przeniósł do innego bytu z padołu podeptanego piękna. Oczekiwać należy końca „*Trupich czarów*”, by nic przewodziła uchwycić.

Na końcu 10-iej księgi umieszczono wiersz poety-mistyka, Aleksandra Blocka, p. t. „*Na Kulikowem Polu*”. Sav.

Z literatury włoskiej.

× *Giustino L. Ferri*, „*La Camminante*”. Andrea Bartoli, człowiek czterdziestokilkuletni, żyje wraz z siostrą, Bettiną, na dobrowolnym wygnaniu — w niewielkiej posiadłości ziemskiej w Abruzzach, która mu z całego znacznego majątku ojcowskiego pozostała. Jest z zawodu literatem i publicystą i od lat dwóch usunął się ze zgłętku wielkomięjskiego. Ale samotność i cisza wiejska zawiodły go — nie stały się bodźcem dla jego twórczości; ogarnia go coraz większe zniechęcenie, coraz silniejsza obawa, że się wypisał. Po-

stanawia zatem wrócić do Rzymu, do środowiska, w którym zdobył rozgłos, w którym znajdował podniecie do pracy. Wykonaniu zamiaru tego staje na przeszkodzie przypadek, który sprowadza do domu Bartoli'ego chorą kobietę, nędzarke; ubranie jej wszakże i bielizna, mimo zniszczenia, świadczą, że nie jest zwyczajną włóczęgą. W majaczeniach gorączkowych mówi po włosku akcentem obcym, używa wyrazów francuskich. Bartoli przestaje żyć beczynnie, wraca do pisania i opowiada dzieje tej kobiety, o której nie wie, tak, jak je sobie wyobraża; opisuje miłość swoją dla niej, która powstała, zanim jeszcze z nią mówił. Gdy tajemnicza kobieta wyzdrowiała, prosi tylko, żeby ją nazywano Paolą i żadnych wyjaśnień co do swej osoby nie daje. Wspólne spaceru i długie rozmowy skończyły się tak, jak się skończyć musiały — Paola zostaje kochanką Andrea, żoną jego jednak być nie chce, daje mu do zrozumienia, że dzieli ich nieprzezwyciężona przeszkoda, i pewnej nocy, niepostrzeżenie, bez pożegnania, znika, pozostawiając Bartoli'emu wspomnienie jedynej wielkiej miłości w życiu. Krytyka włoska słusznie ceni w Ferrim pisarza wytwornego, szlachetnego polotu, ożywionego szczerze włoskim duchem.

TREŚĆ NUMERU 37-go.

Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Żona Buddy. *Savitri.*
Stratonika. *Juliusz Zeyer.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny za Galicyę: Antoni Chotoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie